

DLACZEGO?

WHY?

Jolanta Malecka-Kukawka

Instytut Archeologii, Uniwersytet Mikołaja Kopernika
ul. Szosa Bydgoska 44/48, 87–100 Toruń, Poland

W jedno z ciepłych, wiosennych przedpołudni, jedenastego, może dwunastego czerwca 1981 r., w drzwiach naszego pokoju w hotelu asystenckim UMK w Toruniu stanął kolega ze studiów, Rysio Kirkowski. Ucieszyliśmy się, bo była to bratnia dusza z czasów naszych poznańskich studiów, jedna z niewielu znajomych osób w zupełnie obcym nam środowisku toruńskim, w którym znaleźliśmy się z mężem po ukończeniu studiów. Rysiek pracował wówczas w Muzeum w Grudziądzu, mój mąż, Stach, był młodym asystentem w Instytucie Archeologii i Etnografii (niedawno wrócił ze służby wojskowej), a ja – matkowałam sześciolatniej Małgosi i trzymiesięcznej Ani. Naszą radość z tych nieoczekiwanych odwiedzin zmroziła twarz Ryśka i jego słowa, które usłyszeliśmy na powitanie i które po niemal ćwierćwieczu wciąż słyszę:

- Ludzie, świat się zawalił!
- Rysio, co się stało? choroba? coś z tobą, rodziną?
- Świat się zawalił, Kaziu nie żyje!
- Rychu, co ty mówisz?! jaki Kaziu?
- No, jak to jaki Kaziu? Siuchniński!

Dalej już nie pamiętam, dziesiątków pytań, na które Rysiek nie potrafił odpowiedzieć, pytań, które zadawaliśmy, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

Od tego dnia minęło ćwierć wieku, czas wydawałoby się wystarczająco długi, by na rzeczywistość i wydarzenia, które dzieli dystans pokolenia spojrzeć bez emocji. Czy jest to jednak możliwe?

Mam przed sobą *Wspomnienie o Kazimierzu Siuchnińskim*, pióra Dobrochny Jankowskiej*, opublikowane wkrótce po Jego śmierci. Zawarte w nim treści są tak trafne

* D. Jankowska, *Wspomnienie o Kazimierzu Siuchnińskim*, „Koszalińskie Zeszyty Muzealne” t. 11, 1981, s. 129–131.

i głębokie i tak zgodne z moimi odczuciami, że wręcz uniemożliwiają napisanie czegośkolwiek, co mogłoby jeszcze pełniej ukazać postać Kazimierza Siuchnińskiego. Odnoszę bowiem wrażenie, że każde napisane o Nim zdanie będzie i tak wtórne wobec tego tekstu.

A jednak postanowiłam napisać. Dlaczego?

*Kiedy wyjeżdżają, zostają
ich uczniowie. Bardziej zdolni
i mniej. Potem się okazuje
że wiele od tego zależy.
Ale nie chodzi o potem
tylko o to przedtem
nim do potem dojdzie.*

[Piotr Sommer, *Tulacze*, z tomiku *Pamiętki po nas*, 1980]

Jestem uczennicą Kazimierza Siuchnińskiego, byłam wraz z kolegami współuczestnikiem tego *przedtem*. Jeśli nawet – o czym jestem przekonana – nie stać mnie na napisanie o Mistrzu niczego więcej ponad to, co już zostało napisane, przechowuję w pamięci wiele obrazów i zdarzeń, związanych z mym Nauczycielem. O kilku, tych sprzed lat, chciałabym napisać z nadzieją, że złożą się na obraz *przedtem* z udziałem Kazimierza Siuchnińskiego, tej wyjątkowej postaci poznańskiej archeologii.

Pisząc te słowa uświadomiłam sobie, że upływ czasu wcale nie zniwelował mego emocjonalnego stosunku do Kazimierza Siuchnińskiego. Nadal nurtuje mnie wiele pytań, z których większość zaczyna się od słowa „dlaczego”? Pytanie, które zadawaliśmy sobie tuż po Jego śmierci, rozgoryczeni niesprawiedliwością losu i w gruncie rzeczy egoistyczne: *dlaczego umarł i nas zostawił?* należy do kategorii pytań emocjonalnych, które wraz z upływem lat znajdują swe wyciszenie. Właśnie wyciszenie, a nie pogodzenie się z faktem. Bo przez te wszystkie lata, jakie upłynęły od Jego śmierci po wielokroć to pytanie sobie zadawaliśmy w skrytości, z pretensjami i rozżaleniem. Dlaczego? dlaczego właśnie On?, przecież jest nam potrzebny!!! Był nam potrzebny w czasie, kiedy dopiero wchodziliśmy w dorosłe „archeologiczne” życie, ale – i piszę to z głębi serca – dzisiaj brakuje Go nam równie dotkliwie.

Co sprawiło, że ten Człowiek, którego przecież poznaliśmy dopiero na studiach, w ciągu kilku zaledwie lat tak bardzo zaistniał w naszym życiu? Dlaczego właśnie On? Skąd taka nasza reakcja na wiadomość o Jego śmierci? Świat się zawalił! Jak to się stało, że nasza, całkiem spora grupa studentów, zaczynających studia w roku akademickim 1974/75 wiadomość o śmierci Kazimierza Siuchnińskiego przyjęła tak, jakby odszedł ktoś najbliższy?

W końcu był *tylko* naszym wykładowcą, jednym z wielu wspaniałych nauczycieli akademickich poznańskiej uczelni, którzy podjęli się edukacji kolejnych roczników młodych entuzjastów archeologii. Był także opiekunem naszego rocznika, co akurat, zwłaszcza w trakcie pierwszego roku studiów, było przez nas odbierane w rozmaity,

wcale nie najlepszy sposób. Jego opiekuństwo przejawiało się między innymi tym, że wypytywał o szczegóły z naszego prywatnego życia, o sytuację rodzinną, problemy mieszkaniowe itp. Gdy wydobywam z pamięci te szczegóły, muszę stwierdzić, że na początku studiów tego naszego Opiekuna nie bardzo lubiliśmy: wtrąca się, co Go to właściwie obchodzi? przecież jesteśmy dorośli, to nasze prywatne sprawy, mamy tu studiować, a nie żeby nas ktoś niańczył. Podobnych komentarzy było wiele. Więc dlaczego Jego śmierć tak bardzo dotknęła niektórych z nas?

Z albumu wspomnień z mych poznańskich lat 1974–1980 mogłabym wyjąć wiele kart z opowieściami i anegdotami. Z wykładów, na których pociliśmy się bardziej, niż na niejednych ćwiczeniach, bo zmuszał nas do myślenia zadając w nieoczekiwanych momentach trudne pytania. Z wykopalisk, z wycieczek dydaktycznych, z rozmów „na papierosie” (niestety!) w naszym archeologicznym klubie przy kaloryferze w holu Collegium Novum i z wielu innych sytuacji. Ale podobne opowieści, dykteryjki, barwne anegdoty snuć może zapewne każdy absolwent wyższej uczelni. Próbując więc odpowiedzieć na nurtujące mnie pytanie, na czym polegała wyjątkowość Kazimierza Siuchnińskiego, znajduję tylko jedno rozwiązanie. Był szczególnym Człowiekiem, który potrafił stworzyć niepowtarzalną atmosferę serdeczności. W jakiś niezwykle sposób, mimo ewidentnego dystansu pomiędzy nami, studentami a Nim, Panem doktorem, a później docentem, udawało Mu się tak postępować, że tego dystansu nie odczuwaliśmy. W rozmowach często czuliśmy się młodszymi kolegami, a nie uczniami, aczkolwiek czynił to w sposób specyficzny. W bezpośrednich kontaktach daleki był od tego, co można by nazwać subtelnością. Był raczej szorstki, czasem bezpośredni do tego stopnia, że Jego słowa potrafiły zabołec. Jednak po czasie zwykle okazywało się, że jakaś uwaga, po której można było czuć się urażonym czy wręcz niezrozumianym, ułatwiała radzić sobie ze sprawami, które my – młodzi – odbieraliśmy jako największe klęski życiowe. Potrafił nam uświadomić, że wokół nas istnieje jeszcze skomplikowany świat i dzieją się takie rzeczy, wobec których nasze wielkie tragedie, problemy i stesy są błahe i że łatwo je sami możemy przezwyciężyć. Zdarzało się jednak, że nie zawsze mogliśmy sobie poradzić, w takich sytuacjach we właściwym momencie pojawiał się Kaziu. Nie pamiętam, by nie miał czasu bądź by zbagatelizował coś, co było ważne dla kóregokolwiek z nas.

Dla ilustracji obrazek z mej pamięci.

Dwa tygodnie przed rozpoczęciem roku akademickiego 1976 r., po ciężkiej chorobie zmarł mój ukochany Ojciec. Niełatwo wracało mi się do Poznania. Obawiałam się spotkania z kolegami, znajomymi, nie miałam ochoty na rozmowy, nie życzyłam sobie przejawów współczucia, które, choćby najszczerze, zwykle mają skutek odwrotny, niż zamierzony. W Katedrze, tuż po moim przyjeździe, spotkałam Kazimierza Siuchnińskiego. Gestem zaprosił mnie do swego pokoju. Weszłam ze ściśniętym gardłem, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Usłyszałam wówczas charakterystyczne: – „Paaani Jolu”. Tylko dwa słowa; po czym rozłożył ramiona i po prostu mnie przytulił. Zmoczywszy trochę kłapy Jego marynarki ani się spostrzegłam, że rozmawiamy o jakichś normalnych sprawach, o tematach archeologicznych, o wykopaliskach, o kolegach, o tym, kto już

pojawił się w Katedrze, a kto i dlaczego się spóźnia. Ot, samo życie. W sobie tylko właściwy sposób potrafił pokazać nam codzienność w odpowiednich proporcjach i pomóc odnaleźć w niej nasze miejsce.

Z tych w istocie niewielu chwil spotkań, jakie zbierałyby się w ciągu pięciu lat studiów, bez trudu można było zauważyć, że swoją osobą raczej nie zaprzętał sobie głowy. Miał za to zawsze czas dla swych uczniów. Przywołał kolejny, trochę żartobliwy obrazek z mej pamięci, który chyba dobrze to ilustruje.

Na starszych latach studiów seminarium odbywało się w pokoju K. Siuchnińskiego. Ponieważ opracowywałam materiały z naszych wcześniejszych wykopalisk, miałam uprawnienia do pobierania klucza od Jego pokoju. Na seminarium, odbywającym się w późnych godzinach popołudniowych czy wręcz wieczorami, nasz Promotor zwykle przybiegał (to jest właściwe słowo) po intensywnym dniu pracy. Szklanka gorącej herbaty na rozpoczęcie była przez Niego przyjmowana z wdzięcznością, herbatę robiliśmy także i dla siebie z zapasów herbacianych z szafki przy drzwiach. Herbata (mocna, parzona z fusami) miała dla nas – seminarzystów – jakiś dziwny posmak i raczej jej nie wypijaliśmy. Nasz Mistrz wysączył ją do ostatniej kropli i czasami można było w Jego spojrzeniu ujrzeć oznaki zdziwienia, że nam nie smakuje. Szybko wykryłam przyczyny dziwnego aromatu herbaty. Otóż, o ile dobrze pamiętam, pracownicy Uniwersytetu dostawali przydziały herbaty liściastej i mydła. K. Siuchniński taki przydział pakował do szafki przy drzwiach, a ponieważ nie był w stanie tych dóbr zużyć, sporo paczek herbaty zalegało obok kostek mydła, zdaje się marki „eos” o intensywnym zapachu. Zrobiłam porządki w tych zapasach, znajdując dla mydła właściwe miejsce, z dala od herbaty. Cóż z tego! Każdy kolejny przydział ładował w szafce, a herbata do końca naszych seminaryjnych spotkań miała ten dziwny posmak. Ten szczególnie gatunek herbaty nazwaliśmy „kaziówką”.

Nie sądzę, by Kazimierz Siuchniński nie rozróżniał smaków herbaty. Być może smak wypijanej cieczy po prostu nie miał znaczenia. Z perspektywy lat wydaje mi się, że rozpoczęcie seminarium od herbaty miało w sobie coś z rytuału, który nasz Mistrz świadomie wprowadził. Znalezienie szklanek, łyżeczek, gotowanie wody grzałką w blaszanym, dość sfatygowanym kubku, niekiedy „odkuwanie” resztek cukru zajmowało trochę czasu i odbywało się równolegle – jak nam się wydawało – ze swobodną rozmową towarzyską. W pewnym sensie taka ona była, ale nasz Promotor, przechodząc płynnie do spraw naukowych, już znakomicie wiedział, jaki będzie przebieg seminarium, kto jest przygotowany, a komu należy wypomnieć „niewłaściwe proporcje między pracą a rozrywką”, i to w taki szczególnie sposób, który często „szedł w piętę”. Nie były to zwykłe zajęcia. Po latach stwierdzam, że miały one jednocześnie charakter lekcji wychowawczych. Przepisowe dwie godziny lekcyjne seminarium często bardzo się wydłużały. Zdarzyło się kiedyś, że koło północy nocny portier z Collegium Novum przyszedł sprawdzić, dlaczego w pokoju pali się światło, a gdy z ulgą stwierdził, że nie wydarzyło się żadne nieszczęście, Panu Docentowi, i wówczas Prodziekanowi, dał do zrozumienia, że nocą powinno się spać. Krótko mówiąc, wyrzucił nas. Kazimierz Siuchniński miał dla innych wiele czasu i cierpliwości, obdzielał nimi szczerze wszystkich, którzy tego potrzebowali.

*

Mam za sobą blisko ćwierć wieku bycia nauczycielem akademickim, byłam opiekunem kilku roczników studentów. Przez cały ten czas postać Kazimierza Siuchnińskiego jako dydaktyka i człowieka była dla mnie wzorem postępowania w wielu trudnych sytuacjach, w jakich znaleźli się moi studenci. Mając w pamięci Jego zachowanie wobec nas – młodych – usiłowałam i usiłuję w podobny sposób traktować mych studentów. Życzyłabym każdemu młodemu człowiekowi, który postanowi podjąć studia, by trafił na takiego wspaniałego wykładowcę, jakim był dla mnie Kazimierz Siuchniński.

*

Dlaczego powstał ten tekst? Jak to pięknie ujęła Dobrochna Jankowska – Kazimierz Siuchniński był Bardzo Dobrym Człowiekiem. O takich ludziach należy pamiętać.